

BP DAMIAN ANDRZEJ MUSKUS OFM
MAGDALENA DOBRZYNIAK

NIE MÓJ KOŚCIÓŁ

ROZMOWY O NADZIEI, OCZYSZCZENIU I FUNDAMENTACH WIARY

SPIS TREŚCI

Rozdział 1.	JĘZYK JEST WAŻNY	7
Rozdział 2.	POD SPOJRZENIEM BOGA	23
Rozdział 3.	BOGATA WDOWA I UBODZY FARYZEUSZE	49
Rozdział 4.	SAMOTNI, SPRAGNIENI BRATERSTWA	71
Rozdział 5.	POJEDNANIE TRZECH MIŁOŚCI	101
Rozdział 6.	WOŁANIE ZIEMI O ZMIŁOWANIE	127
Rozdział 7.	WIĘCEJ SŁUCHANIA!	145
Rozdział 8.	OSTATNIA LEKCJA JEANA VANIERA	169
Rozdział 9.	ŻNIWO BĘDZIE WIELKIE, CHOĆ PÓŹNE	199
Rozdział 10.	W DROGĘ!	229

*Wiedziałem jednak zawsze, że
w tej łodzi jest Pan, i wiedziałem zawsze,
że łódź Kościoła nie jest moja, nie jest nasza,
lecz Jego.*

(Benedykt XVI)

ROZDZIAŁ 1

JĘZYK JEST WAŻNY

Ustalmy na początek, jak mam się zwracać do rozmówcy, który jest zakonnikiem i biskupem zarazem. Ekszelencjo? Księżę Biskupie? Ojczy Biskupie?

Jak najkrócej. Wystarczy „o” z kropką. A tak poważnie – wystarczy: „ojczy”. I kropka.

To „i kropka” brzmi dość kategorycznie.

Tak, ale kategorycznych stwierdzeń staram się unikać.

Dlaczego?

Być może dlatego, że mam taką naturę. Czuję, że bliższy jest mi dialog. Sam zaś wolę raczej słuchać niż mówić. Przemawianie i orzekanie nie są moimi najmocniejszymi stronami.

Nietypowo jak na biskupa. Podobno oni nie mówią, tylko właśnie przemawiają.

Tak jak nie jedzą, tylko spożywają; nie idą, tylko krocą; nie śmieją się, tylko ukazują radosne oblicze. Takie określenia stosuje się raczej dla żartów, choć nie można wykluczyć, że celebracja

10 NIE MÓJ KOŚCIÓŁ

samych siebie, czasem widoczna w postawach niektórych biskupów, może rodzić taką twórczość u prześmiewców.

Wróćmy więc nie do przemawiania, ale do mówienia, słuchania i dialogu. Czy dobrze jest z tym w Kościele?

Różnie bywa, ale nie uważam, żeby akurat Kościół wyróżniał się jakoś nadzwyczajnie na tle innych środowisk. Być może temperatura debat publicznych podnosi się szybciej, gdy dotyczą one spraw fundamentalnych, a wiara w Boga i wszystko, co się z tym wiąże, do takich sfer należy. Ludzie nazbyt często zapominają, że ich indywidualne doświadczenie nie jest jedyną obowiązującą prawdą o świecie i nie da się go ani narzucić, ani nazwać powszechnym. Doświadczenie nabywa się po to, by wyciągać z niego wnioski i się nim ewentualnie dzielić. To ważna prawda, o której nie wolno zapominać – zwłaszcza wtedy, gdy rzecz dotyczy kwestii wiary, odniesienia do Boga, życia wspólnoty Kościoła. Ktoś na przykład doświadczył od ludzi Kościoła wiele zła, ale czy to znaczy, że Kościół jest zły? I na odwrót, ktoś ma wyłącznie dobre doświadczenia, ale czy to znaczy, że ma prawo kwestionować bagaż bólu innych ludzi, bo akurat on go nie dźwiga? To podnoszenie własnych przeżyć do rangi absolutu jest niebezpieczne i z pewnością tu upatrywałbym jedno z wielu źródeł podziałów i napięć, z którymi się zmagamy.

A nie jest nim brak tolerancji i otwartości na światy wartości inne niż nasz?

Niejednokrotnie spotykamy się z poglądem, że ludzie religijni są nietolerancyjni, zamknięci na opinie osób, które nie podzielają ich przekonań, i narzucający swoją wizję świata. Pewnie tak jest u tych, którzy są niepewni swojej wiary i za wszelką cenę usiłują jej bronić. Albo przywiązują większe znaczenie do rytuałów, nabożeństw, wypełniania przykazań niż do pielęgnowania żywej relacji z Bogiem. Ta relacja przecież otwiera na świat, a nie na niego zamyka. Przypomnijmy sobie, co działo się z uczniami Pana po Jego śmierci i zmartwychwstaniu. Tkwili zamknięci w Wieczerniku jak w niezdobytej twierdzy! I to nie tylko ze strachu przed Żydami. Oni doświadczali swobodnego końca świata, utraty Tego, któremu zawierzyli wszystkie swoje życiowe plany i nadzieje. Zaczęli nabierać nieco więcej odwagi, gdy Pan Jezus postanowił zaprezentować im kolejne dowody na to, że żyje. A to przyszedł do nich mimo drzwi zamkniętych, rozmawiał z nimi, a to prosił o coś do jedzenia, pokazywał rany, Tomaszowi dał ich nawet dotknąć, cierpliwie wyjaśniał sens tego wszystkiego, co się wydarzyło. W końcu posłał obiecanego Ducha Świętego, by zamknięte drzwi Wieczernika przeszły do historii i żeby wpuścić więcej ożywczego powietrza do dusznej atmosfery, w której tkwili apostołowie. A my dwa tysiące lat później zachowujemy się, jakby historia chrześcijaństwa skończyła się właśnie wtedy, zanim Zmartwychwstały ukazał się uczniom. Przyjmujemy taką postawę, jakby Pięćdziesiątnica była zwyczajnym, szarym dniem, który nie wniósł nic nowego w życie Kościoła.

Zarzuca ojciec katolikom w Polsce brak wiary?

Niczego nie zarzucam, opisuję tylko pewne zachowania. Myślę zresztą, że podstawowy problem tkwi w sposobach komunikacji i języku, jakiego używamy i w kazaniach, i w dyskusjach. To często język mało ewangeliczny, niekiedy wręcz konfrontacyjny, rzadko uznający odmienne punkty widzenia. Dość charakterystyczne jest to, że posługują się nim również ci, którzy deklarują się jako otwarci, poszukujący i nastawieni na dialog ze światem. Powszechnie sięga się po wyraziste środki wyrazu, by dotrzeć do szerokiego grona odbiorców i skupić ich uwagę na tym, co ma się do przekazania. Wyrazistość nie może jednak oznaczać ferowania wyroków i ocen. Pamiętamy na przykład, jak wielu dziennikarzy czy publicystów na podstawie zewnętrznych obserwacji, strzępów informacji i wyrwanych z kontekstu słów tworzyło - i wciąż wielu się tego trzyma - narrację, jakoby papież Franciszek nie mógł albo nie potrafił włączyć się z całą determinacją w proces zakończenia okrutnej wojny w Ukrainie. Mało tego, wielu z nich sugerowało, że dla podtrzymania stosunków dyplomatycznych z Federacją Rosyjską Stolica Apostolska jest w stanie przymykać oko na bezmiar cierpienia narodu ukraińskiego. Pod wpływem emocji wydaje się pochopne, szybkie osądy. To nie jest klimat, w którym może się rozwijać dialog, ani przestrzeń, w której mogliby się spotkać ludzie poszukujący prawdy, a nie tylko błyskotliwego komentarza.

Zastanawiające jest, dlaczego sprzeciw wobec formułowania tego typu insynuacji wybrzmiewa tak słabo.

Bliskie jest mi podejście kardynała Franciszka Macharskiego do takich czy podobnych kwestii. Miał on zdrowy dystans do bieżących sporów i zabierał głos wtedy, gdy uważał, że jest to potrzebne do wyjaśnienia pewnych spraw lub uspokojenia nastrojów, a nie wówczas, gdy naciskała na to opinia publiczna.

Dziś opinia publiczna naciska pewnie jeszcze mocniej niż za czasów kardynała Franciszka. Właściwie za każdym razem, gdy w Kościele wydarzy się coś niepokojącego, podnoszą się głosy mówiące: „A biskupi znowu milczą!”. Słusznie?

Nie w każdej sprawie episkopat musi zabierać głos *in gremio*. Rozumiem jednak, że są takie sytuacje, kiedy ludzie oczekują ze strony biskupów wyrażenia stanowiska albo nawet stanowczej reakcji, gdy przekraczane są granice ludzkiej przyzwoitości. Przyznaję, że kilka razy „łamałem ciszę”, powodowany troską o tych, dla których milczenie pasterzy było zbyt głośne, a dla wielu wierzących wręcz bolesne.

Nie ma ojciec w takich sytuacjach poczucia, że wychodzi przed szereg?

14 NIE MÓJ KOŚCIÓŁ

Wszystko, co mówię na ambonie, jest inspirowane przede wszystkim Ewangelią. Obce jest mi głoszenie słowa, w którym nie ma miejsca na Słowo. Jeśli wierzymy, że Słowo, które daje nam Bóg na każdy dzień, nie jest przypadkowe – a nie jest! – nie można zapominać o nim także w ocenie bieżących wydarzeń. Ewangelia jest światłem, które rzuca promienie na codzienność. Jeśli czuję, że to, co chcę powiedzieć, nie jest wytworem mojej wyobraźni, ale wyłania się z ewangelicznego światła, nie mam żadnych obaw, że to Słowo zostanie źle rozumiane albo że stanie się zarzewiem podziaków. Dlatego też nie mam żadnych lęków, żeby dzielić się Słowem z nieograniczoną liczbą odbiorców, jaką spotkać można choćby w mediach społecznościowych.

Wychowałem się w tradycji franciszkańskiej, która – jak zresztą każda zdrowa duchowość – uczy, by stawiać w centrum Dobrą Nowinę opisującą słowa i czyny Jezusa, Jego naśladować i z Nim się jednoczyć. Święty Franciszek, wychodząc przed szereg, nie szukał siebie, nie stosował zabiegów autopromocyjnych. Chciał być tam, gdzie jest Mistrz.

Jednak czasem można odnieść wrażenie, że głos biskupa Damiana odbiega od wypowiedzi innych biskupów, a nawet jest niejako w kontrze do nich. Oczywiście nie myślę tu o homiliach, ale o komentarzach publikowanych choćby na Facebooku.

Przyznaję, że na forum, które w czasie pandemii stało się dla mnie głównym polem działalności ewangelizacyjnej, zaczęły

pojawiać się myśli będące reakcją na bieżące wydarzenia, niekoniecznie dotyczące wiary i moralności. Jednakże niemal zawsze związane były one z życiem Kościoła. Proszę mi wierzyć, wypowiedane słowa czy pisane teksty nigdy nie stanowiły reakcji na głosy innych biskupów. Byłoby to słabe i mało dojrzałe. Chciałbym być dobrze zrozumiany: nie jestem zwolennikiem tworzenia pozorów jedności i wiem, że są sytuacje, w których trzeba się wyraźnie opowiedzieć, ale nie może się to odbywać w kontrze, na polu walki. Bycie na nieustannej wojnie z innymi, w konflikcie, w starciu niewiele ma wspólnego z chrześcijańskim stylem życia.

A zatem gdy pojawiają się wydarzenia, fakty czy opinie, które mnie poruszają wewnątrz, a wielu innych nawet bulwersują, najpierw rozważam, czy w ogóle warto zabierać głos. Trochę po Tischnerowsku pytam siebie: czy będzie z tego jakieś dobro? Czy są w Kościele, na jego obrzeżach, a nawet poza nim jacyś ludzie, którym ten głos jest potrzebny? Reakcje zwrotne przekonały mnie nie raz, że warto słuchać swojego serca, że ludzie czekają na słowo, które podnosi ku górze, i na słowo prawdy, która buduje, a nie rozbija. Ludzie nie potrzebują ciągłych konfrontacji, ale głosu, który da im nadzieję.

I znowu wracamy do języka.

Tak, bo to ważny temat. Język – poza tym, że jest oczywiście narzędziem komunikacji – stanowi świadectwo naszej tożsamości.

Jest odzwierciedleniem przemian zachodzących w społeczeństwie, wiele też mówi o stanie naszej kultury i duchowości. Patrząc na to, w jaki sposób się wyrażamy, wiele można powiedzieć o wewnętrznym świecie naszych przeżyć, emocji, również o naszych relacjach z innymi ludźmi i z Bogiem.

Ale przecież akurat ta ostatnia sfera dotyczy kwestii trudnych do zdefiniowania i wyrażenia.

Dlatego za każdym razem niepokoi mnie takie opisywanie doświadczeń duchowych czy wspólnotowych, takie nauczanie czy komentowanie Ewangelii, które jest zbyt jednoznaczne czy dosłowne. Wyjaśniać to nie znaczy upraszczać. Tymczasem w Kościele pada zdecydowanie za dużo banałów, trywializujemy najważniejszą dla każdego chrześcijanina relację, jaką jest więź z Chrystusem. Druga skrajność polega na tym, że Dobra Nowina ubierana jest w przeintelektualizowane wywody, dostępne dla hermetycznego grona znawców. Idę o zakład, że w niektórych przypadkach sam głoszący nie bardzo wie, co chce przekazać. Ta językowa bezradność ma wiele źródeł i wolałbym, żeby na ten temat wypowiadali się znawcy tematu. Sam mogę powiedzieć tyle, że powinniśmy zdecydowanie większą wagę przywiązywać do sposobu, w jaki głosimy Dobrą Nowinę, bo od tego zależy, czy ludzie się nią zainteresują, czy odnajdą w niej odpowiedzi na swoje pytania i niepokoje, i w końcu – czy usłyszą w niej głos Boga. To postulat, który dotyczy zarówno biskupów – również

mnie samego – jak i kapłanów, rekolekcjonistów, spowiedników, ale także ludzi świeckich, którzy są liderami wspólnot i głoszą kerygmat.

Jaki więc powinien być ten język?

Mogę mówić o tym, jakie sam sobie stawiam wymagania. Chciałbym, aby był to język bliski świata ludzkich przeżyć. Chciałbym też, aby był to język prosty, bo Ewangelia jest w gruncie rzeczy prosta. To nie oznacza oczywiście języka niestarannego czy ubożego. Przeciwnie, język głoszenia w Kościele powinien odzwierciedlać nie tylko prostotę Ewangelii, ale również jej piękno i harmonię. To nie jest wyłącznie kategoria estetyczna. Nie mówimy tu tylko o języku pięknym, ale o takim, który porusza człowieka, o słowach, które inspirują do poszukiwań i przemiany. Jest to często język raczej pytań niż kategoriycznych stwierdzeń, bardziej zaproszenie do dialogu i wyraz poszukiwania nowych form dla nieprzemijających treści niż nakazów typu: musisz się modlić, musisz być wierny, musisz korzystać z sakramentów. Człowiek jest wolny, nic nie musi. Jedynym sposobem, by go zaprosić do wejścia w głąb, jest miłość, fascynacja Bogiem, który daje się nam poznawać. Zbyt często zapominamy, że przykazania zrodziły się z miłości, a nie z pragnienia uregulowania relacji między Stwórcą a człowiekiem. Konsekwencje mówienia o Ewangelii w formie nakazów i zakazów są niestety poważne, bo łatwo tu o przekroczenie granicy, za którą

znajdują się religijna przemoc i przymus, który prowadzi do zniewolenia zamiast otwierać na Tajemnicę i pomagać w spotkaniu człowieka ze Zbawicielem.

A jednak język kazań i listów bywa utrzymywany w stylu nakazowo-rozdzielczym, wciąż obliguje słuchaczy do takich czy innych decyzji lub zachowań. Trudno się tego słucha. Co ojciec radzi osobom, u których taki sposób przekazu skutkuje buntem albo zniechęceniem?

Można na przykład zmienić kościół, to znaczy poszukać takiej ambony, z której padają słowa budujące i napawające nadzieją. Można też zdobyć się na odwagę i w rozmowie z kaznodzieją podzielić się swoimi odczuciami czy refleksjami. Ale też można - a nawet trzeba - zadać samemu sobie pytanie, dlaczego czuję się rozbity, znudzony czy zraniony. Może kaznodzieja dotyka jakichś wrażliwych strun, którym warto się przyjrzeć. Jeśli tak nie jest, jeśli jego słowa po prostu budzą niepokój, który nie ma nic wspólnego z twórczym napięciem, i ni jak się mają do Ewangelii, nie musimy ich przyjmować. Wcale nie jestem zwolennikiem skądinąd popularnej tezy, że w każdym, nawet bardzo złym kazaniu tkwi jakaś mądrość i że dla wyłuskania tej jednej myśli warto zdobyć się na poświęcenie. Trzeba mieć świadomość, że niektórzy kaznodzieje też potrzebują pewnej wyrozumiałości. Nie każdy urodził się mówcą. Proszę mi wierzyć, takie doświadczenia są niełatwe nie tylko

dla słuchaczy. Wszyscy potrzebujemy cierpliwości ze strony bliźnich.

A może na tym polega wyzwanie? Żeby zobaczyć człowieka, a nie wyłącznie dwie strony ambony – głoszącego słowo lepiej czy gorzej po jednej stronie i sfrustrowanych lub zainteresowanych słuchaczy po drugiej?

Pewną formą terapii jest budzenie świadomości, że wszyscy wędrujemy do tego samego celu, a po drodze przeżywamy podobne trudności, dylematy, upadki i słabości, bo taka jest przecież natura człowieka. Ani ksiądz nie jest półbogiem, ani ludzie określani mianem wiernych – tak jakby kapłani byli niewierni! – nie są bezwolnym tłumem, którym można manipulować i dopasowywać jego reakcje do swoich osobistych przekonań. Zasada ta zresztą jest uniwersalna. W Kościele stawiamy w centrum Chrystusa i to jest, a właściwie powinno być, oczywiste. Można jednak odnieść wrażenie, że w wielu przypadkach traci się przy tym z oczu człowieka żyjącego obok nas – a przecież Jezus był realnym człowiekiem, objawił się nam w ludzki sposób i jest nam po ludzku bliski. Tak bliski, że Jego oblicze możemy odkrywać w każdym z nas. W każdym, bez żadnego wyjątku. Jeśli więc będziemy dla siebie po prostu ludzcy, wiele problemów może nie zniknie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ale będą one łatwiejsze do udźwignięcia dzięki wspólnocie doświadczeń, świadomości jednego celu i relacjom. Kontakty z ludźmi uczą,

20 NIE MÓJ KOŚCIÓŁ

że naszemu wzrostowi i umocnieniu wiary bardziej służy, jeśli szukamy tego, co nas łączy, zamiast tracić energię na tropienie różnic i wykazywanie, że to, co inne, jest niebezpieczne. Nie mówiąc o tym, że jest to zdrowsze dla życia w społeczeństwie.

Tak, ale te starcia odbywają się w imię prawdy. Każdy z adwersarzy powie, że chodzi mu o poznanie prawdy, bo to prowadzi do oczyszczenia, zablźnienia ran i zadośćuczynienia - czy to w związku ze skandalami w Kościele, czy w polityce, czy w szeroko pojętym życiu publicznym.

Trudno się z tym nie zgodzić. Oczywiście poszukiwanie pełnej prawdy i docieranie do niej jest naszym ludzkim i moralnym obowiązkiem, i chwała osobom, które poświęcają temu swoje zdolności, czas i energię. Ale prawdę trzeba przede wszystkim szanować.

Co to znaczy szanować prawdę?

Nie można czuć się właścicielem prawdy. Każda próba jej zawłaszczania, uzurpowania sobie prawa do ostatecznego wyrokowania, co nią jest, a co nie, każda próba redukcji prawdy wyłącznie do faktów prowadzi do ideologii. Człowiek, który szanuje prawdę, godzi się na to, że odsłania się ona fragmentami - że są takie tajemnice, które pozostaną przed nim zakryte. W kulturze, która nie respektuje granic intymności, brzmi to

niestety egzotycznie i budzi podejrzenia. Ale aby prawdę ocalić w jej złożoności i pięknie, trzeba zrozumieć, że jest ona procesem, w którym dojrzewamy, dorastając do jej przyjęcia.

Szanować prawdę to znaczy także nie wykorzystywać jej przeciwko człowiekowi. Jaka korzyść przychodzi z odkrycia prawdy, jeśli idą za tym ludzka krzywda i cierpienie? Prawda, którą się manipuluje dla osiągnięcia własnych celów, którą traktuje się jak szabelkę do różnych ideologicznych pojedynków albo wprost do niszczenia drugiego, przeradza się w cyniczne kłamstwo. Prawda używana do tego, by zabijać w człowieku nadzieję, jest antychrześcijańska, bo Jezus jest Prawdą dającą życie.

Jak więc odkrywać prawdę, by nie zabiła nadziei?

Posłużę się obrazem z życia św. Franciszka z Asyżu, zresztą dobrze znanym. Mam na myśli jego spotkanie z trędowatym, które stało u źródeł nawrócenia młodego Bernardonego. Sensem tego spotkania wcale nie było Franciszkowe wzruszenie, pod którego wpływem ucałował nieszczęśnika, pokonując wewnętrzny opór, a właściwie - mówiąc wprost - wstręt. To była tylko konsekwencja istotnego procesu, o którym rozmawiamy. Biedaczyna dzięki temu żebrakowi poznał prawdę o Bogu miłującym ubogich i odrzuconych, o drugim człowieku, w którym kryje się oblicze cierpiącego Chrystusa, i o sobie samym, o własnej nędzy i małości. Co stało się później? Franciszek poszedł do

22 NIE MÓJ KOŚCIÓŁ

szpitala dla trędowatych i służył im, obmywając i opatrując ich rany, karmiąc ich i nazywając przyjaciółmi. Czerpał z tego, jak wskazują świadectwa, niezwykłą słodycz. To, co dotychczas wydawało mu się wartością, a więc światowe życie i jego przyjemności, straciło sens. To, czym dotąd gardził, co budziło w nim wstręt, objawiło mu Boga, który jest miłością. Poznanie prawdy doprowadziło Franciszka do radykalnej przemiany życia. Prawda daje człowiekowi pokój serca i prowadzi go do dobra.

© Wydawnictwo WAM, 2023

Opieka redakcyjna: Kama Hawryszków
Redakcja: Klaudia Biń
Korekta: Marta Koziak-Podczerwińska, Katarzyna Onderka
Projekt okładki: Katarzyna Legendź
Skład i opracowanie graficzne: Dawid Adrjanczyk
Fotografia na okładce: Stanisław Muskus

ISBN 978-83-277-3582-9

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 · 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
www.wydawnictwowam.pl